

## Polskie drogi 3

Do rozwinięcia tego tematu zainspirował mnie pewien blog, na którym mój znajomy recenzuje hotele, w których bywa. Wnikliwie przeanalizował swoje spostrzeżenia i zrobił własny ranking plusów i minusów. Wprawdzie nie goszczę w hotelach aż tak często jak on, ale też niektóre przemyślenia mam całkiem podobne 😊

Zacznę prozaicznie, od koszy na śmieci. Zupełnie nie rozumiem dlaczego one ZAWSZE są takie maleńkie i zwykle stoją gdzieś wciśnięte w najdalszy kąt łazienki(?) Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam w hotelu, gdzie nie musiałabym rezygnować z kosza na rzecz foliowej siatki na zakupy. No bo na co komu taki tygi kubełek? Wrzuci człowiek do środka puszkę po piwie albo nie daj Boże dwie, a już się kłapa nie domyka, i jeszcze człowiek wychodzi na menela, że wypił tyle, że aż cały kosz zapełnił ☐ Oczywiście jeśli w ogóle ta kłapa działa, bo zwykle pedał jest zepsuty albo kosz stoi w takim miejscu, że nie ma jak sięgnąć nogą, albo też jest tak mały, że zanim się kłapa otworzy to się ten kubełek przewróci. Drodzy hotelarze, nie oszczędzajcie, proszę, na śmietniczkach! Postawcie normalnie, pod biurkiem choćby i plastikowy pojemnik na zwykły worek, rzecz jasna z workiem, bo również i worków nader często brakuje.

Drugą ważną dla mnie kwestią jest wi-fi. Łącze bezprzewodowe w dzisiejszych czasach jest już normą i właściwie jest dostępne już wszędzie, ale niestety w wielu hotelach, nawet i tych dobrych, jedynie z nazwy. Nie zliczę ileż to razy biegałam po korytarzu z laptopem i szukałam zasięgu. Raz go znalazłam na balkonie, niestety w styczniu. Drugim razem w ogródku restauracji, niestety bez możliwości skorzystania z elektrycznego gniazdka, ale się nie dałam. Skombinowałam kilka

przedłużaczy i siedząc dwadzieścia metrów dalej podpięłam się do prądu w recepcji. Ha! Rzeczą nagminną jest, że w pokojach połączenie się zrywa, a w odpowiedzi na pytanie o jakąś inną sieć, recepcjonista ZAWSZE robi oczy wielkie ze zdziwienia i mówi, że u niego jest wszystko w porządku i nic nie zrywa. No tak, uwielbiam ten niewinny i pełen szczerego zdziwienia ton, że to chyba właśnie tylko tak teraz, bo przecież do tej pory wszystko działało normalnie 😊

Oczywiście przy recepcji zawsze zasięg jest full, ale przecież gość płaci za pokój w hotelu, a nie za miejsce stojące przy recepcji.

Nie, nie 😊 Nie myślcie sobie, że ja jestem jakaś upierdliwa, ale powiedzcie czy jakąś wielką fanaberią jest oczekiwać, by w hotelowym pokoju znajdowała się wystarczająca ilość gniazdek?

Zwykle są dwa, zazwyczaj gdzieś wciśnięte głęboko za biurkiem, ewentualnie pod biurkiem. Nie dość, że aby się tam dostać, trzeba albo wyrznąć głową w szufladę, albo też gruntownie przemeblować pokój, to żeby na przykład podładować telefon trzeba zrezygnować z telewizji lub z oświetlenia na biurku. A już jednocześnie podłączyć laptopa, ładować telefon i przy akompaniamencie muzy z MTV przy okazji jeszcze wieczorem widzieć klawiaturę, to już normalnie opcja, która w przyrodzie nie występuje prawie wcale. Ja z gatunku tych bardziej zapobiegliwych, więc od niedawna wożę w walizce złodziejkę. Przedłużaczy już wozić ze sobą nie będę, ale i telefon na wszelki wypadek staram się naładować w samochodzie



No i ostatni hotelowy „kwiatek” czyli prysznic. Tu mogłabym wyprodukować długą epistołę, ale że to tylko felieton, zatem będę się streszczać. Kran. Tylko kran i aż kran, przy którym prawie nigdy nie wiadomo, w którą stronę obrócić wajchę, by poleciała ciepła woda, a przy nieco starszym patencie z zakręcanymi kurkami prawie zawsze z tego czerwonego zimna woda poleci 😊 No i ciekawe jeszcze skąd ta woda

poleci... Czy zaatakuje nas od sufitu intensywny opad z podstępnej deszczownicy, czy też słuchawka nagle wywinie się z uchwytu i tańcząc ruchem węzowym nie spuści nam lodowatego prysznic na łepetynę prosto od fryzjera? A jak do tego jeszcze dodamy zacinające się drzwi od kabiny, obowiązkowo – mniej lub bardziej – przytkany odpływ z brodzika oraz stary jak świat wynalazek w postaci ceratowej zasłonki, której nikt nigdy nie myje, wieczorna tudzież poranna toaleta w hotelowej łazience jawi się jako stresujące i wymagające saperskiego refleksu wyzwanie. Ja nie wiem jak to jest, ale choćbym nie wiem jak sprytnie umknęła przed opisaną wyżej serią wymyślnych zasadzek i choćbym nie wiem jak zwinnie wiła się w okolicy najdalszego kąta prysznic to i tak ta obrzydliwa zasłonka ZAWSZE, jakimś cudem, mi się do tyłka przyklei ☐

---

## Polskie drogi 2

Jak to zwykle bywa w dłuższej podróży, dziś również, po paru godzinach jazdy naszły mnie podróżne przemyślenia. Wsiadając do Babowozu zwykle myślę, że w drodze nic sensownego nie wymyślę, a tu, nie wiadomo kiedy, rusza myślowy ciąg i nie można go zatrzymać.

Dzisiaj na ten przykład, naszło mnie przy hot-dogu. A konkretnie wtedy, jak przy jakiejś nierówności na asfalcie wpakowałam sobie do nosa keczup z musztardą ☐

Szybkie żarcie to zdecydowanie nie moje klimaty, ale w sumie to nie podróżuję znów aż tak często, żeby sobie odrobinę nie pogrzeszyć. Poza tym, w trasie trzeba czasem skorzystać z toalety, a jednym z nielicznych miejsc, które trzymają przyzwoite standardy czystości jest McDonald's. W sumie, przy

okazji taki wrap lub bułka z mielonym, popita ohydną, niezdrową i tuczącą colą również w większości krajów trzymają mniej więcej taki sam standard. Wiadomo czego się spodziewać, więc ten właśnie bar szybkiej obsługi jeszcze do niedawna był moim pewniakiem. No właśnie, do niedawna, kiedy to przymuszona pilną potrzebą zajechałam do ich odwiecznej radomskiej placówki. Skoncentrowana na czymś zgoła innym, nie dostrzegłam zaparkowanych nieopodal dwóch autokarów. Kolejka do kasy co najmniej na pół godziny i taka sama długa do toalety. Zrezygnowałam. Nie miałam aż tyle czasu ☐ Drugi, niefortunny i na domiar złego już kolejny z rzędu raz, trafił mi się na trasie Wrocław-Kraków. Tam spryciarze dla niepoznaki wprowadzili system numerków. Otóż, uradowana, że jest jeszcze przed jedenastą i załapię się na przedpołudniowe menu z pysznym wrapem z pieczarkami i serem, w ciemno zajechałam na miejsce. Zero kolejki do kasy, więc złożyłam zamówienie, zapłaciłam i dopiero wtedy spojrzałam na numerek. 37 miejsce w kolejce oczekujących na realizację zamówienia! Myślałam, że mnie szlag trafi. I to ma być bar szybkiej obsługi? Jaja jakieś...

Obraziłam się zatem na Maca i przeniosłam me podrózne uczucia właśnie w stronę hot-dogów ze stacji benzynowych. Nieczęsto robię sobie przerwy w trasie, bo zawsze jest mi szkoda tych samochodów, które już wyprzedziłam, a że wyprzedzam praktycznie cały czas, to mam czego żałować, więc to rozwiązanie wydało mi się jeszcze lepsze niż poprzednie 😊

Ale nic to. Wróćmy do rzeczonych hot-dogów. Nawet je lubię. Poza tym nie trzeba na nie długo czekać i dają się zjeść w czasie jazdy, więc i tych powtórnie wyprzedzonych jest zdecydowanie mniej, natomiast dziwi mnie zaobserwowana przy tym pewna prawidłowość. A raczej dwie. Po pierwsze zawsze, ale to ZAWSZE muszę upaprać się keczupem. Jak nie pociapię sobie musztardowo-keczupową breją na ubranie, to umażę sobie twarz i na serwetce zostaje mi połowa makijażu. Wiem, wiem, zaraz mi ktoś powie, żeby nie jeść w trakcie jazdy, ale wiecie, zawsze

człowiekowi szkoda tych pierwej wyprzedzonych, no i na postoju też zawsze się brudzę 😊

Drugą sprawą, która nie daje mi spokoju, jest fakt, że sprzedawcy również ZAWSZE, ale to absolutnie bez wyjątku, najpierw podają człowiekowi hot-doga, a dopiero później wydają resztę. A jak ja mam schować resztę do portfela jedną ręką? Mam sobie wetknąć tę bułkę do gęby, czy jeszcze gdzieś indziej, czy jak? Innego sposobu nie ma, by się przy okazji nie pobrudzić, ewentualnie nie upuścić wykeczupowanego hot-doga na podstawkę do wydawania reszty i pobrudzić także i ją, co raczej jest rzeczą pewną, więc nie rozumiem dlaczego sprzedawca nie może najpierw wydać reszty, a później wręczyć klientowi zamówienie. Ktoś może powiedzieć, że on też chce mieć wolne ręce, by móc wydać resztę i właśnie dziś usłyszałam takie tłumaczenie, bo już nie wytrzymałam i zapytałam. Trochę to dziwne, że w ślad za sprzedawcami lodów, nikt nie wpadnie na to, żeby postawić na ladzie choćby zwykły kubek z logo stacji, żeby na czas płacenia i wydawania reszty wszyscy mieli wolne ręce 😊

Jak widać, na pewne rzeczy wpływu człowiek nie ma, a przecież tak wiele drobiazgów nas wnerwia.

Ja nie wiem jak to jest, ale za każdym razem, jak wlewam płyn do spryskiwacza, to na dnie baniaka zostaje mi resztką płynu. Tak, jakby nie można było zrobić tych baniaków o pojemności 3,7 litra. W ten prosty sposób uszczęśliwionoby wielu kierowców, którzy od razu po nalaniu płynu, wywaliliby pusty pojemnik do kosza, a nie zastanawiali się co z nim zrobić. Odkąd sięgam pamięcią, jeszcze nie zdarzyło mi się jeździć autem – a było ich grubo powyżej dwudziestki – żeby nie została mi resztką tego płynu 😊

Na koniec muszę wspomnieć jeszcze jedną, absolutną samochodową prawidłowość. Nie znam na nią patentu, więc może ktoś z Was ma jakiś sposób bym poczuła się lepiej. Nie oczekuję nawet

odpowiedzi, jak temu zaradzić, ale będzie mi miło i poczuję się różnie, że nie tylko ja tak mam. Tu pomijam ostatnie zdarzenie, kiedy to na podziemnym parkingu w galerii handlowej pękła rura kanalizacyjna, oczywiście bezpośrednio nad moim samochodem, bo mnie takie sytuacje po prostu lubią, ale chciałam zapytać o owady. Czy u Was też zawsze największy owad roztrzaska się żółtym plackiem na szybie, centralnie na wysokości Waszych oczu? Czy podniszczona guma od wycieraczki pierwszą smugę zostawi również w tym samym miejscu (nawet bez żółtych zwłok owada), tak jakby pierwsza nie mogła się wystrzepić wycieraczka po stronie pasażera? Przecież one zużywają się tak samo. A może nie? Może to jakieś wyłącznie moje osobiste fatum? Pojutrze znowu trasa, ale tym razem już wiem, o czym znów dla Was napiszę, ale skoro zima już przyszła, to szerokości i przyczepności Wam życzę 😊

Iza

---

## Polskie drogi

W ostatnich tygodniach nieustannie nawijam. Nawijam, nawijam i nawijam. Albo nawijam pisząc, albo nawijam gadając na niezliczonych spotkaniach na powietrzu i w eterze, no i oczywiście nawijam mknąc czerwonym babowozem w siną dał. Jeżdżąc, nieustannie nawijam na licznik kolejne tysiące kilometrów i obserwuję, co się da.

Nigdy nie wiadomo, co może stać się inspiracją do czegoś, zatem to moje nawijanie takie do końca bez sensu chyba nie jest. Właśnie wróciłam do domu po kolejnym, szeroko pojętym

nawijaniu i od razu zasiadłam do spisania moich refleksji i spostrzeżeń. Wszystko w życiu ma jakieś uzasadnienie, ale nie na wszystko wiem jakie, zatem w paru kwestiach pytania pozostawię bez odpowiedzi, licząc na Was, że mi w tym pomożecie. 😊

Podróżując ostatnio po różnych regionach Polski natknęłam się na pewne kwestie niewyjaśnione. Na przykład wytłumaczcie mi, proszę, dlaczego w Kotlinie Kłodzkiej 100% pracowników branży gastronomicznej i hotelarskiej pochodzi z Ukrainy, a na Podkarpaciu praktycznie sami Polacy, za to też na ścianie wschodniej w ciągu 3 dni natknęłam się na rekordową ilość samochodów marki fiat Seicento? Dlaczego, na przykład, w Żąbkowicach Śląskich wszystkie samochody zatrzymują się, zanim jeszcze pieszy pomyśli, że chciałby przejść przez jezdnię, a w Warszawie, co sił w nogach pieszy musi uciekać z pasów, by ujść cało z życiem?

0, albo korek. Nigdy nie wiedziałam dlaczego powstają korki na autostradzie, gdy nic szczególnego się nie dzieje, ale dziś już to wiem. Wczoraj, tuż przed moim nosem, z niewyjaśnionych przyczyn, jedna ciężarówka nagle postanowiła wyprzedzić drugą ciężarówkę, bowiem ta druga, ślamazara jedna, miała ustawione tacho na prędkość o 0,5km/h niższą, niż pierwsza. I co? No i korek po całości. 7 minut, bo tyle dokładnie trwał manewr wyprzedzania, to czas wystarczający, by przytkać kilkanaście kilometrów autostrady, ale nie zmienia to faktu, że nasz kierowca kaskader poczuł się lepiej i chyba o to chodziło. Widocznie w sznurze dużych mobilków od czasu do czasu trzeba sobie zmienić krajobraz, bo w końcu ileż można się gapić na żółtą naczepę z napisem Gniotpol (pisownia autentyczna), skoro przez kolejny odcinek trasy można wpatrywać się w zieloną plandekę z napisem Tymbark. Podobno zielony uspokaja. Niestety nie wszystkich w korku. A zwłaszcza jadącego za mną kierowcę srebrnej skody, który chyba stwierdził, że ten korek to moja wina, bo nie dość, że na mnie natrąbił to jeszcze mrugał z częstotliwością 10 razy na minutę.

Ja nie wiem dokładnie, o co w tym chodzi, ale z tym srebrnymi skodami to też coś jest na rzeczy. Pomijam już fakt, że mniej więcej co trzecie auto na trasie to srebrna skoda z nowej kolekcji zima 2016, a za kółkiem obowiązkowo, znerwicowany krawaciarz w białej koszuli. Siada taki człowiekowi na ogon i mruga, jakby nie widział zbitego sznura ciężarówek na prawym pasie. Przecież, żeby ustąpić takiemu drogi trzeba zwolnić o połowę, by się wcisnąć między tiry (wiem, wiem... to ciągniki siodłowe z naczepą i nie każdy jest tirem :)), a tu taki siedzi człowiekowi na zderzaku i „myszkuje” jakby chciał wyprzedzić pasem zieleni albo rowem. Pół biedy jeszcze wyhamować i wkleić się w ciężarowy konwój, ale jak się później stamtąd wydostać, skoro na lewym wszyscy lecą szybko, a co trzecie auto to srebrna skoda z permanentnie włączonym kierunkowskazem?

A tu taki mruga... Aż się prosi, żeby chwycić za gruszkę i puścić w eter: „No i czego mrugasz, kretynie?”, no i zwolnić do setki. Niech sobie dostaje piany i mruga. Ech, czasem to dobrze, jak się CB radio zepsuje, bo by sobie człowiek pofolgował.

Kolejną nurtującą mnie kwestią jest zachowanie kierowców na czerwonym świetle albo w korku. Chyba większości się wydaje, bo innego wytłumaczenie raczej nie ma, że wraz z zatrzaśnięciem drzwi pojazdu i przekręceniem kluczyka, stajemy się niewidzialni i przenosimy się do jakiejś innej czasoprzestrzeni, w której nas nie widać. No bo jak inaczej wytłumaczyć dłubanie w nosie, grzebanie w zębach i oglądanie sobie migdałków w lusterku wstecznym? Hmm, i ten wzrok wbity sztywno przed siebie, by przypadkiem nie zauważyć kogoś, kto chciałby zmienić pas ruchu. A może za łapówkę ktoś wydaje prawo jazdy niewidomym, bo przecież co za różnica, czy w dużym natężeniu ruchu jedziemy za hondą czy przed hondą? Owszem, jak się nam na krętej drożynie wpakuje przed nos siewnik z roztrzaskarką do gnojówki, a wszędzie serpentyny i podwójna



ciągła, a jak nawet nie ma podwójnej ciągłej i zakrętów, to na bank coś musi jechać z naprzeciwka, to tu – rzecz jasna – kolejność ma znaczenie, ale w mieście???

Wrócę jeszcze na moment do tych świateł, bo nie rozumiem jeszcze jednej rzeczy. Zwykle rozglądam się dookoła i normalnie patrzę, kto siedzi w stojącym obok samochodzie. Czasem udaje mi się nawiązać kontakt wzrokowy z sąsiadem, ale taka sytuacja kończy się zazwyczaj w dwójnasób. W większości przypadków zostaje to odebrane jako zaproszenie do wyścigów i palenia gum na starcie i tu chętnie korzystam, natomiast w drugim przypadku, to już rzadziej, jako zaproszenie do nawiązania bliższej znajomości i to najlepiej przy kolejnych światłach. Tu już taka chętna nie jestem 😊

Kochani, właśnie zakończyłam pierwszą turę promocyjnych wojaży i podsumowując powyższe, nie pozostaje mi nic innego, jak podpisać się pod starym porzekadłem, że ten kto jedzie wolniej od nas to melepeta, a kto jedzie szybciej ten świr!

Szerokości 😊

Izabella Frączyk